GŁOS KOBIET

10 gr.

Nr. 9. **Warszawa, 25 kwietnia 1936 r.** **Rok XXIX**

Święto z woli ludu

Przed laty po całym świecie rozległo się wołanie o porozumienie i łączenie się ludzi pracujących, bez protekcji cesarzy, królów a właściwie wbrew ich woli.

Ojcowie socjalizmu oznajmili zdumionym i przerażonym władcom świeckim i duchownym t. zn. papieżowi i jego dostojnikom, że dzień **1-go Maja** będzie świętem klasy pracującej całej kuli ziemskiej. Toczyły się długie, krwawe i ofiarne walki klasy pracującej we wszystkich krajach o prawo do świętowania w dniu 1-go Maja.

Odświętnie ubrani ze sztandarami czerwonemi zbierali się robotnicy na placach zbornych, żeby manifestować za międzynarodowem porozumieniem narodów, o krótszy dzień roboczy, ustawodawstwo socjalne, prawo polityczne.

Dzień 1-go Maja powoli obejmował dziesiątki tysięcy a później miljony uczestników. Nawet w najmniejszej osadzie fabrycznej porzucono pracę, słuchano przemówień, łączono się z demonstrującymi we wszystkich krajach, przesyłając braterskie pozdrowienia.

Bo lud pracujący, robotnicy, chłopi, rzemieślnicy, mali urzędnicy nie mają żadnego interesu, żeby jątrzyć i siać nienawiść do innych ludzi, dlatego, że mówią innym językiem, albo wyznają inną wiarę. Wojny prowadzili i prowadzą klasy posiadające, cesarze, królowie, generałowie, kapitaliści, fabrykanci, bankierzy, bo wojna to ich rzemiosło i źródło bogactw.

Dlatego z taką nienawiścią odnoszą się do socjalistów, jako apostołów porozumienia i pokoju. W święcie 1-go Maja, chociaż klasa pracująca obchodzi je piąty dziesiątek lat, nie uczestniczy cała rodzina robotnicza, bo nie zawsze mąż i ojciec socjalista umiał w domu zaprowadzić „porządek socjalistyczny".

Zdarza się często, że 1-go Maja ojciec ubiera się w najlepsze ubranie, przypina czerwoną odznakę, a żona i dzieci nie uczestniczą ani sercem, ani mózgiem w tem ojcowskiem święcie, czyli kobiety pracują, dzieci idą do szkoły a „staremu" nie przeszkadzają, żeby poszedł na zgromadzenie i uczestniczył w pochodzie.

A przecież 1-go Maja, to święto wyznaczone wolą ludu, dla jego wyzwolenia z wszystkich nieszczęść ustroju opartego na krzywdzie miljonów ludzi.

Dlatego **1-go Maja** w szeregach wołających o nowy ład społeczny, muszą znaleść się dziesiątki miljonów kobiet całego świata, bo kobiety jeszcze bardziej uginają się pod brzemieniem krzywdy, i dla nich przyjdzie wyzwolenie dopiero w tym nowym świecie, urządzonym według wskazań nauki socjalistycznej.

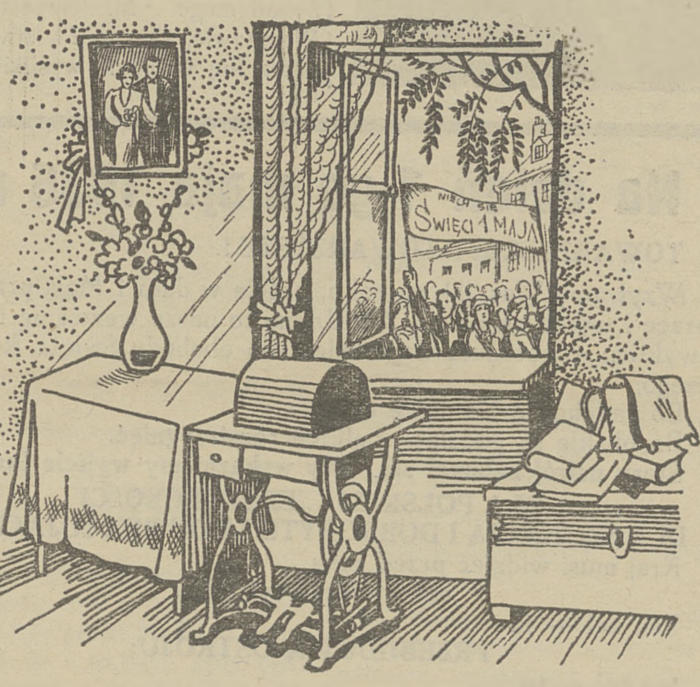
Do szeregów więc kobiety, młode, starsze i te najstarsze.

Do szeregów razem z mężami, ojcami, braćmi.

Na czoło pochodów, wy najbardziej wyzyskiwane, poniewierane.

Święto 1-go Maja musi być świętem całej klasy pracującej, mężczyzn, kobiet, młodzieży, dzieci.

Ta solidarność zapewni zwycięstwo.



Cała rodzina uczestniczy w pochodzie.

Bezrobotni na łasce losu

Możnaby zapisać tomy całe krzywdą bezrobotnych. Najcięższa kara w więzieniu nawet, to bezczynność i praca w warsztatach już jest wielką ulgą.

W duszach bezrobotnych rodzi się uczucie żalu, zawodu, ostatecz na gotowość do rozpaczliwych czynów.

Marsze bezrobotnych do władz miejskich do starostwa, województwa, to ostatnia deska ratunku, żeby na drodze legalnej otrzymać pracę. Zapomogi udzielane są tak małe, że nie wystarczają na najniezbędniejsze potrzeby. Możliwość otrzymania pomocy obwarowana drutem kolczastym różnych przepisów jest udziałem zaledwie małej grupy 30 — 40 tysięcy osób na kilka miljonów bezrobotnych.

Tragiczny jest los robotników przemysłowych pozbawionych pracy, zapomogi otrzymuje zaledwie 10 proc. zgłaszających się do urzędów.

Wiemy w jakich warunkach żyją, mieszkają, jak się odżywiają rodziny bezrobotnych, jak wyglądają dzieci, niszczone gruźlicą, krzywicą.

Jednak w jeszcze gorszem położeniu są bezrobotni na wsi, którzy wogóle nie mają prawa do żadnych zapomóg i nie można ich znaleźć w żadnym wykazie urzędowym.

6 — 8 miljonów mieszka na wsi takich nieszczęśliwców, dla których nie ma żadnej nadziei na „odmianę". Żaden cud nie wyprowadzi ich z niewoli nędzy, bo wszystkie środki zaradcze stosowane przez rząd nie rozwiążą zasadniczej sprawy, **przeludnienia wsi.** Niema emigracji ani za granicę Polski, ani do ośrodków przemysłowych czy miast większych, bo nieudolna polityka gospodarcza i kryzys zniszczyły warsztaty pracy.

Suma 10 zł. zapomogi miesięcznie dla rodziny bezrobotnego na wsi, to szczyt marzeń głodujących. Nędzarz wspiera nędzarza, odejmują sobie ludzie od ust, inaczej nie mogliby się utrzymać przy życiu.

Gdyby bezrobotnym na wsi wypłacono tylko 10 zł. miesięcznie, niezbędna suma wyniosłaby przeszło pół miljarda rocznie.

Państwo nie podało pomocnej dłoni tej najliczniejszej warstwie narodu, wieś się musiała ratować sama. Doszła jednak do kresu wytrzymałości, dłużej takiego stanu znieść nie można.

Braterstwo chłopów z robotnikami to jedyna droga do wyzwolenia.

Pamiętajcie kobiety, że ponosicie największe ofiary i dzieci wasze. Musicie się interesować przyczynami nieszczęść. Radzenie w opłotkach i narzekanie nie pomoże. Razem z mężami trzeba uderzyć i to mocno, inaczej zginiemy.

W. J.

Zabrali robotnikom pieniądze...

Pracodawcy winni są warszawskiej Ubezpieczalni 21 miljonów zł., które ściągnęli przy wypłatach robotnikom i robotnicom i zatrzymali w swoich kasach.

Tłumaczą się kryzysem, ale żadne usprawiedliwienie nie zmieni faktu, że zatrzymali nie swoje pieniądze.

Jest to nadużycie, tolerowane od szeregu lat, bo ogólne zadłużenie pracodawców we wszystkich ubezpieczalniach wynosiło w 1934 r. około 300 miljonów. Nasi towarzysze zapytywali ówczesnego ministra, kiedy rozpoczną „działać" p. prokuratorzy i pociągną do odpowiedzialności defraudantów grosza robotniczego.

Różne dekrety oddłużeniowe darowały wielkie sumy przedsiębiorcom. Tymczasem świadczenia dla chorych, karmiących matek, bezrobotnych ograniczono tak, że z dawnego wspaniałego dorobku nie wiele zostało. Rządzą komisarze, robotnicy t. zn. ubezpieczeni nie mają przedstawicielstwa.

Nawet szpital Ubezpieczalni w Warszawie na Solcu zamknięto, bo podobno nie odpowiadał wymogom i obiecują, że wybudują nowy, wspaniały na 300 łóżek.

Powiada przysłowie: Nim słońce (szpitalne) wejdzie, rosa (brak łóżek) oczy wyje. Ale skończą się rządy opiekunów a wtenczas klasa robotnicza pociągnie do odpowiedzialności niszczycieli.

Bolesna strata

Zgon Tow. Dr. Budzińskiej-Tylickiej

Tow. Budzińska - Tylicka nie żyje. Fakt ten zdaje się być nieprawdopodobnym nietylko dlatego, że zgon nastąpił prawie nagle, że oderwał ją od pracy i zawodowej i społecznej, ale i dlatego, że szalona energja, pracowitość, temperament, młodość duchowa, żywotność niewygasająca zdawały się niedopokonania. W ciągu ostatniego tygodnia tow. Budzińska - Tylicka przemawiała 3 razy do towarzyszy na dzielnicach. Nie umiała odmówić, gdy ją proszono, choć czuła się zmęczona.

Dr. Budzińska - Tylicka jest przedstawicielką kobiet, które niezmordowaną pracą, bezgraniczną ofiarnością zdobywały dla wszystkich kobiet prawo do samodzielnej pracy zarobkowej, do nauki i do praw politycznych. Gdy te szańce po wojnie zostały zdobyte, punkt ciężkości walki o równouprawnienie przesunął się. Inteligencja nie miała co zdobywać. Ale proletarjacki świat kobiecy mało skorzystał z praw politycznych i z prawa do nauki.

Formalne prawo do pracy, które ustrój kapitalistyczny od samego początku przyniósł kobiecie - robotnicy, stało się przymusem pracy w najgorszych warunkach. Kobieta - proletarjuszka nie umie się bronić przed wyzyskiem, nic sobie dotąd nie wywalczyła, znajduje się na samem dnie ustroju krzywdy i wyzysku.

I oto dr. Budzińska - Tylicka znalazła się wśród tych, którzy zawsze bronili praw proletarjatu, weszła do PPS. i w CWK. w WWK. rzuciła całą swą energję do pracy nad uświadomieniem towarzyszek i towarzyszy.

Tow. Budzińska - Tylicka była lekarką, dobrze znała tragedję kobiety nędzarki, wiedziała, że ciężar nadmiernych obowiązków macierzyństwa, że ciągłe rodzenie dzieci, których niema czem nakarmić i przyodziać, które się nie mogą w nędzy i brudzie wychować i umierają przedwcześnie, że to wszystko niszczy i zabija kobiety. Dlatego też pierwsza w Polsce postawiła praktycznie sprawę świadomego macierzyństwa i regulacji urodzeń, organizując przy Rob. Tow. Służby Społecznej Poradnię Świadomego Macierzyństwa, która była jej ukochanem dzieckiem. Setkom najbiedniejszych kobiet dała możność zapobiegania niepożądanemu macierzyństwu, walcząc z plagą poronień. Hasło walki o świadome macierzyństwo stało się wkrótce popularnem wśród proletarjatu — zrozumieli je i kobiety i mężczyźni. Tow. Budzińska - Tylicka nietylko sama pracowała w poradni, jako lekarka, ale wygłaszała odczyty, pisała w „Robotniku" i w „Głosie Kobiet". Akcja jej spotkała się z dużem zrozumieniem, osoba jej pociągała serca. Proletarjat doskonale czuł, co jej zawdzięczał.

Pogrzeb zasłużonej Towarzyszki zgromadził robotniczą Warszawę i okolicę, świat lekarski, organizacje kobiece.



Trumnę z kaplicy wyniosły towarzyszki z Warszawskiego i Centralnego Komitetu Kobiet. Kilkadziesiąt sztandarów, wieńce od wszystkich organizacyj i tłumy publiczności.

Przy dźwiękach orkiestry Elektrowni kondukt bez udziału kleru — przeszedł ulicami Warszawy, miasta w którem działała prawie całe dorosłe życie i które kochała tow. Budzińska - Tylicka.

Trumnę do grobu poniosły od wrót cmentarza towarzyszki, wspomagane przez A. S.

Pochyliły się sztandary, po przemówieniach tow. Arciszewskiego, tow. Weychert - Szymanowskiej, tow. Bełzówny, Rybickiej z Poznania, Jaworskiej z Łodzi i przedstawicieli różnych organizacyj, w których pracowała tow. dr. Budzińska - Tylicka.

Głęboki żal towarzyszył przemówieniom. Żegnano człowieka szlachetnego, ofiarnego, broniącego z honorem swoich przekonań. Walka o prawa i godność kobiet będzie prowadzona dalej, razem z towarzyszami o ustrój, w którym te prawa nie będą frazesem lecz prawdą.

Wł. Weychert-Szymanowska.

Ku wiecznej pamięci

Pomnik działalności tow. Dr. Justyny Tylickiej, Przychodnia Świadomego Macierzyństwa w Warszawie, Leszno 23, stworzona przez Nią wielkim wysiłkiem postawiona na wysokim poziomie będzie nosiła Jej imię.

Taka uchwała zapadła na posiedzeniu Zarządu Robotniczego Towarzystwa Służby Społecznej, którego Zmarła była przewodniczącą.

Postanowiono zawiesić portret tow. Budzińskiej - Tylickiej w Przychodni, urządzić uroczyste odsłonięcie.

Nie wątpimy, że wszystkie „Przychodnie" Rob. Tow. Służby Społecznej pójdą za przykładem Zarz. Głównego i w ten sposób uczczą pamięć zasłużonej Towarzyszki.

Na dzień 1-go maja 1936 r.

TOWARZYSZKI! TOWARZYSZE!

Wzywamy Was, jak co roku, byście w dniu 1 Maja przerwali pracę i wyszli na ulice. Ale dzisiaj to nasze wezwanie nie jest zwykłem, corocznem wezwaniem do obchodu Święta Robotniczego.

Bo nadchodzą już nowe czasy.
Bo bliskie są godziny wielkich rozstrzygnięć.
Stary ustrój załamał się. My wskazujemy wyjście inne!

DLA POLSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI
DLA SZCZĘŚCIA I DOBROBYTU LUDU PRACUJĄCEGO.

Kraj musi widzieć przed sobą
cel wysiłku i cel ofiar.

Ten cel — to
PRZEBUDOWA USTROJU;
ten cel — to
SOCJALIZM I WOLNOŚĆ;
ten cel — to
GOSPODARKA PLANOWA, WYPŁYWAJĄCA Z POTRZEB JEDNOSTKI.

W dniu 1 Maja poprzez przerwanie wszelkiej pracy, na zgromadzeniach czy akademjach, masowym udziałem w pochodach musicie stwierdzić Waszą decyzję niezłomną.

Robotnicy! Chłopi! Kobiety pracujące!

Jesteście **wspólnym frontem** Świata Pracy. Wespół z bezrobotnymi i z bezrolnymi, w imię wszelkiej ludzkiej krzywdy i wszelkiego ludzkiego nieszczęścia w imę nędzy wsi i rozpaczy bezrobocia postawcie w dniu 1 Maja proste, wyraźne żądania:

PRACY I ZIEMI, WOLNOŚCI I CHLEBA!

Wołamy o

RZĄD ROBOTNICZO - WŁOŚCIAŃSKI!

W dniu 1 Maja musimy pokazać Polsce i światu, że chcemy być gospodarzami prawdziwymi.

Wszyscy razem — robotnicy i chłopi, bezrobotni i fornale, kobiety pracujące, pracownicy umysłowi... Wyjdziecie na ulice, by stwierdzić Waszą wolę i Waszą wiarę:

ZA RZĄDEM ROBOTNICZO - WŁOŚCIAŃSKIM;
ZA BRATERSTWEM LUDÓW, ZA PRZEŁAMANIEM WOJNY POPRZEZ PRZEŁAMANIE FASZYZMU.
ZA SOCJALIZM I ZA WOLNOŚĆ!
NIECH ŻYJE POLSKA NIEPODLEGŁA RZECZPOSPOLITA SOCJALISTYCZNA!
NIECH ŻYJE SOLIDARNOŚĆ MAS PRACUJĄCYCH WSZYSTKICH KRAJÓW!

Robotnicy! Chłopi! Pracownicy umysłowi! Kobiety!

Niech się w tym roku 1 Maj święci wszędzie, jak Polska długa i szeroka!

CENTR. KOM. WYKONAWCZY P.P.S.

Handel kobietami

Kobiety młode i ładne to towar zapewniający doskonałe dochody handlarzom t. zw. *żywym towarem*. Niedoświadczone dziewczęta padają ofiarą wyrafinowanych oszustów, którzy pod pozorem pracy, czy małżeństwa, uwodzą młode kobiety, wywożą zagranicę i sprzedają do domów rozpusty.

Handlarze i handlarki zbierają często miljonowe fortuny, a ofiary ich niecnego zawodu, kobiety, przeżywają męczarnie najokropniejsze.

Przy Lidze Narodów pracuje specjalna komisja do walki z handlem żywym towarem.

Czterech przedstawicieli tej komisji, między nimi i przedstawiciel Polski, p. Pindor Karol, objechali całą Europę, Amerykę, Chiny, Japonję i t. d. i po trzech latach złożyli raport.

Udało się zaaresztować 293 międzynarodowych handlarzy żywym towarem i *uwolnić 5000 kobiet*, trzymanych przemocą w domach rozpusty.

Nędza, jako rezultat bezrobocia, to także odpowiednie podłoże dla handlarzy.

Wygłodzone, znękane młode dziewczęta, dają posłuch opowiadaniom o „raju" właśnie w Argentynie, i często jadą przez „zieloną granicę", z takim przyjacielem, żeby wpaść w ręce handlarzy bez czci i sumienia.

Panowie w Genewie radzili

Ludzie „prości" przykładają do podpisu wielkie znaczenie, zwłaszcza, jeżeli miało to miejsce w sądzie, u rejenta, czy w zakrystji. Umowa, zawarta obowiązuje, no bo to ludzie „prości" i mają pewne poczucie odpowiedzialności za swój podpis, chociaż by to były tylko 3 krzyżyki, jeżeli się jest analfabetą. Takie naiwne zapatrywania nie obowiązują dyktatorów.

Po wojnie światowej powstała **Liga Narodów**, zbierająca się w Genewie w Szwajcarji, gdzie miano godzić waśniące się narody.

Spisano całą księgę, dokładnie określono, co czeka państwo, któreby złamało umowę i napadło na inne państwo.

Wszyscy członkowie Ligi Narodów złożyli uroczyście swoje podpisy i zdawało się, że gołąb pokoju przeleciał nad światem.

Stare przysłowie powiada: Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.

Przecież w Lidze Narodów zasiadają przedstawiciele świata kapitalistycznego, który nie przekreślił swoich starych grzechów, będących przyczyną wojny światowej.

Zjeżdżają się pięknie ubrani (często z żonami) panowie dyplomaci, ministrowie spraw zagranicznych, mieszkają w wspaniałych hotelach, dobrze się odżywiają, popijają i... radzą.

Żeby Ligę Narodów umocnić, po zawierano jeszcze różne traktaty, umowy; wszystkie dokumenty pięknie podpisano i rozpoczął się taniec. W rezultacie z wszystkich tych uroczyście podpisanych papierków zostały tylko strzępy. Przekreślili, podarli traktaty. Naprzód kroczyła Japonja i urządziła wyprawę na Chiny, zabierając jedną prowincję po drugiej, pobili się trochę w Południowej Ameryce, Mussolini „wyprawił się" na Abisynję i urządził tam „cywilizowaną" kąpiel,— czarnym Etjopom — gazowo-ognistą. Wreszcie Hitler uderzył pięścią faszystowską w stół niemiecki, podarł traktaty i oświadczył krótko i węzłowato: Piszcie do mnie na pocztę: „Pocałujcie mnie w nos".

Rozpoczął się taniec dyplomatów. Wczorajsi przyjaciele biorą się za łby, ale radzą i radzą i w rezultacie opanował wszystkie narody **szał zbrojeń**.

Rozlega się wołanie: Ratuj się sam, kto może, nie czekaj na pomoc sąsiada dalszego, czy bliższego, bo zawiedzie.

Taką pieśń zaśpiewali faszyści na całym świecie. W pieśni tej są armaty, karabiny maszynowe, tanki, samoloty z bombami różnego kalibru, od ogniowych i trujących począwszy, fortyfikacje ciągnące się na setki kilometrów.

A ludność we wszystkich krajach cierpi nędzę, nie ma dachu nad głową, dla dzieci kęsa chleba, ani szkół. Miljony rąk wyciągają się i błagają o pracę. Do takich zuchwalców stosuje się „ostre środki", nawet całkiem ostre.

A w Genewie, Londynie, Paryżu, Rzymie i innych stolicach radzą, radzą dyplomaci, ministrowie. W wielu krajach, lud nie ma głosu, zamknięto mu usta.

Wierzymy, że jednak przemówi.

Drapieżne kapitały

W sądach toczy się tysiące spraw o małe przewienienia, jak kradzieże, oszustwa, fałszowanie podpisów, wystawianie czeków bez pokrycia i t. d. i t. d. Zapadają wyroki, skazujące na więzienia.

Wielkich spraw na sumy miljonowe jest nie wiele, bo Polska to kraj biedny i afery na skalę francuską czy amerykańską są niedopomyślenia.

Ale w Polsce „pracują" kapitały obce, cieszące się opieką nietylko swoich rządów. Przypomnimy sprawę Boussaca i S-ki, grasującej od 1922 r. w Żyrardowie, tem mieście nędzy, gdzie robotnice zarabiają po 8 zł. tygodniowo, a praktykantki pracują za 3—5 zł. Każdy wysiłek organizacji zawodowej, dążący do poprawy bytu mas pracujących ma do zwalczenia ogromne przeszkody. Władze „czuwały" nad porządkiem, żeby się Boussacowi nie stała krzywda ze strony robotników. A przecież ten drapież ca zabrał mniejszym akcjonarjuszom 23 miljony zł., oszukując ich przy przepłacaniu surowców zagranicą. Ograniczył produkcję, wyrzucił kilka tysięcy robotnic i robotników na bruk, oszukiwał skarb państwa.

Nadużycia trwały 10 lat.

Elektrownia Warszawska, gdzie „pracują" kapitały francuskie, za 6 miljonów zł. włożonych w Elektrownię, przekazała do Paryża 60 miljonów, dywidenda, czyli procenty dla właścicieli akcji wynosiły 150 do 180 procent.

I takie łupienie skóry przez kapitalistów francuskich tolerowano przez lata całe.

Z całą świadomością dopuszczało się kierownictwo Elektrowni do nadużyć, sięgających sum na miljony złotych i ręka sprawiedliwości nie mogła dosięgnąć tych drapieżców.

A gospodarka kapitalistów na Górnym Śląsku, groźna dla interesów państwa, godząca w możliwość bytu tysięcy, tysięcy rodzin, górników, hutników, urzędników, małych kupców!

Ilu robotników straciło życie w walce z tymi łupieżcami, wrogami Polski, obcemi agenturami w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

A całe zagłębie naftowe! w 87% obcy kapitaliści gospodarzą na tym odcinku.

Zbliża się czas, kiedy klasa robotnicza wywłaszczy wszystkich „posiadaczy", uspołeczni warsztaty pracy i obejmie gospodarkę.

Z frontu walki

W Łodzi w fabryce Tietzena 350 robotników porzuciło pracę, okupując fabrykę. Na bramie fabrycznej wywiesili napis:

„Głodujemy, nie przyjmujemy żadnego pożywienia. Leżymy na gołej podłodze, w nieopalonych salach".

Tak walczą robotnicy o kawałek chleba, o możność życia dla siebie i swoich rodzin.

Strajki polskie na Śląsku

Mężowie w podziemiach, kobiety w pierwszych szeregach. Walka o warsztaty pracy toczą się na całym froncie Polski. Od Lidy na Wileńszczyźnie po Stanisławów na południu, w całym kraju robotnicy bronią kopalni, fabryk i przed zamknięciem, czy redukcją załogi.

Taka sama walka toczyła się na kopalni „Śląsk". Górnicy siedzieli w podziemiach, zdecydowani na głód, nawet na śmierć, byle uratować możliwość pracy i wydrzeć właścicielom prawo skazywania na powolne konanie rodziny górników.

W walce brały kobiety i dzieci wybitny udział.

Przed kopalnią zbierały się rodziny, utrzymując kontakt z mężami, czy ojcami.

Szły na czele delegacji do urzędu gminnego, do starostwa, do województwa.

Tow. Machurowa, Sznelowa, Potyczowa, Kolendowa, Osmańska domagały się wycofania wniosków o redukcji załogi.

Swoją energją, poświęceniem, zagrzewaniem mężów do wytrwania przyczyniły się walnie do szybkiego załatwienia zatargu i zwycięstwa.

Dzieci były także na froncie walki. Strajk szkolny zrobił duże wrażenie.

Dzieci nie mogły się uczyć, kiedy ojcowie byli w niebezpieczeństwie; stały przed bramami kopalni, płakały i wołały, żeby ojcowie-żywiciele nie stracili zarobków.

Dzieci rozumieją, że grozi im nędza, jeżeli zamkną kopalnię, albo część załogi wyrzucą kapitaliści na bruk.

To wszystko, co się działo na kopalni „Śląsk", jest dowodem, że całe rodziny stają do walki.

Kobiety nie czekają zmiłowania bożego, nie siedzą w domu, nie płaczą, stają twarzą w twarz z groźbą bezrobocia i całą siłą pomagają swoim mężom.

Tak było na kopalniach: „Eminencja", „Szczęście Luizy", „Klimontów" i innych. Tak będzie wszędzie, gdzie ważyć się będą losy. Zwycięży solidarność i świadomość, że innej drogi niema.

W nieczynnej kopalni „Reden" w Dąbrowie Górniczej, 100 górników rozpoczęło strajk okupacyjny.

Kobiety zatrzymały tramwaj, którym jechali mężowie do kopalni „Renard" i skłoniły ich do wejścia na teren kopalni, celem wezwania dyrekcji do jej uruchomienia. Przed rokiem powstał pożar na kopalni „Reden", obecnie zupełnie już wygasł i kopalnię można uruchomić.

Tragedja lwowska

We wtorek dn. 14 b. m. w godzinach przedpołudniowych, zgromadziła się przed biurem pośrednictwa pracy we Lwowie większa grupa bezrobotnych, żądając zatrudnienia ich. Gdy przedstawiciel Funduszu Pracy oznajmił bezrobotnym, że narazie **fundusz nie jest wstanie zatrudnić większej ilości bezrobotnych**, część zgromadzonycht udała się do magistratu, usiłując wtargnąć na dziedziniec.

Funkcjonarjusze policji nie dopuścili do tego.

Wówczas część bezrobotnych udała się na Plac Akademicki, rozkopany obecnie spowodu prowadzonych tam robót kanalizacyjnych. Szyciu konnych policjantów usiłowało uspokoić gromadzących się bezrobotnych, wówczas jednak na funkcjonarjuszów policji rzucono kilka kostek brukowych i kamieni.

Policja **użyła broni**. W wyniku strzałów ranione zostały dwie osoby spośród demonstrantów. Jeden z nich, **23-letni bezrobotny, W. Kozak, po przewiezieniu do szpitala zmarł**, a drugi z **lżejszą** raną przebywa w szpitalu.

Podczas pogrzebu W. Kozaka w dn. 16 kwietnia doszło do krwawych starć, w wyniku których zostało zabitych 10-ciu demonstrantów.

W chwili gdy piszemy te **słowa** lista zabitych we Lwowie liczy 13 osób. Rannych jest sto kilkadziesiąt osób.

Lwowskie władze bezpieczeństwa aresztowały po czwartkowych zajściach ok. 200 osób.



KRAJ BEZ KOBIET

Podług Peter Bolta 8)

Mąż jej zabrał kuferek. Ona sama dźwigała tłumok bardzo niezgrabnie i niewprawnie. Była to ciężka robota, zagryzała jednak usta, starając się dotrzymać kroku mężowi. Ale i to nie było łatwe. Przysięgła jednak sobie, że go nie poprosi o zwolnienie kroku. Szła więc za nim zdyszana, ze swoim tłumokiem, parasolem, torebką i płaszczem, z nogami obutemi w eleganckie bucik na wysokich obcasach.

Obcasami temi grzęzła w miękkim piasku. Miała uczucie, że ją piasek chwyta w niewolę. Wyrywała mu się przy każdym kroku, nie chciała być więziona, nie chciała ginąć. Przybyła tu, żeby się dorobić i żyć uczciwie.

Wtem — potknęła się. Coś niewidocznego leżało wpoprzek drogi. Upadła. Tłumok potoczył się daleko od niej, parasol złamał się w jej ręku. Uczuła dotkliwy ból w prawej kostce u nogi. Chwyciła się za nią i przekonała, że obcas się oderwał. Pomyślała, że pękła jej także kostka, wyobraziła sobie najbliższą przyszłość: była straszna! Ujrzała siebie opuszczoną, daleko od wszelkiej cywilizacji, od lekarzy i szpitali, bezwładnie leżącą w jakiejś chałupie, zdaną na łaskę człowieka, którego nie zna i na którego delikatność rachować nie może. Opadły ją smutne myśli podczas tych chwil, kiedy tak leżała nieruchomo. Widziała siebie kulawą, kaleką, ciągnącą za sobą nogę. Była to myśl straszna: kaleka! na całe życie kaleka! Krzyknęła rozpaczliwie, wołając o pomoc.

Wkrótce nadeszli ludzie z latarniami. Rozcięto jej bucik na nodze. Kostka była sina, spuchnięta i zupełnie zniekształcona. Przy każdem poruszeniu czuła ból szalony.

— Biegnij prędko po Amerykanina! — usłyszała czyjś głos. I ten sam głos zwrócił się do niej łagodnie i miękko:

— Niech się pani nie boi, mamy tu człowieka, który się na tem zna. Tak dobrze, jak każdy lekarz. On pani pomoże. Zaraz tu będzie.

W parę minut na miejscu był już człowiek, którego nazywali „Amerykaninem".

Przybiegł, skacząc wielkiemi susami, jak kangur. Miał długie nogi. Był to rzeczywiście Amerykanin. Prawie jednocześnie z nim nadbiegł Parker. Dwóch mężczyzn podniosło kobietę i wniosło ją do najbliższego domku, oddalonego tylko o parę kroków. Parker pozostał na dworze. Po krótkiem zbadaniu, Amerykanin postawił diagnozę: noga była tylko zwichnięta. Przy pomocy dwóch zręcznych ludzi przystąpił do jej nastawienia. Komenderował:

— Raz, dwa, trzy! Ciągnijcie! Mocno! — Noga chrupnęła, staw wszedł na miejsce.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie. Amerykanin zaś oświadczył, że wszystko już jest w porządku.

Parker, który stał na dworze przed drzwiami, posłyszawszy ten krzyk, upadł na kolana. Znalazł go tak Amerykanin, wychodząc po chwili z domu. Miał ręce złożone i modlił się. Na kolanach przyczołgał się do łóżka żony i całował wciąż jej ręce. Był to pierwszy pocałunek, który jej dał. Łzy spływały mu po twarzy.

„Nazewnątrz złe — wewnątrz dobre"

W trzy dni później, przy łóżku pani Parker siedziała Mirjam O'Donogam, żona zaprzyjaźnionego z Parkerem poszukiwacza złota. Steve po raz pierwszy od swego przyjazdu opuścił dom na parę godzin dla załatwienia pilnych spraw. Postarał się o to, żeby żona jego nie była sama. Mógł ją spokojnie zostawić pod opieką Mirjam O'Donogan. Nie była jeszcze w stanie poruszać nogą, musiała leżeć spokojnie i bezczynnie. Mirjam zmieniała jej zimne okłady i bez przerwy mówiła:

— Moja droga mrs. Parker, mogę tylko powiedzieć, że pani jest aniołem, że te straszne cierpienia znosi tak cierpliwie. Gdyby mnie się coś podobnego przytrafiło! No, z pewnością nie tak łatwo by to poszło! Ale mój Boże, co to za „pech". Zaraz pierwszego dnia! w pierwszej godzinie! przed wejściem jeszcze do swego domu! Proszę jednak nie myśleć, że to jest zła wróżba! przeciwnie, całkiem przeciwnie!! Ponieważ zło stało się nazewnątrz, przed progiem domu, a zatem przed rozpoczęciem nowego życia, oznacza to wyraźnie szczęście, wielkie, trwałe szczęście. Zło ustąpiło. Towarzyszyło pani aż do drzwi, nie dalej. Najświętsza Panna wzięła panią pod swoją opiekę, moja droga. Zewnątrz złe, wewnątrz dobre! Z nowem życiem i szczęście się dla pani rozpoczęło. Szereg szczęśliwych wydarzeń ma pani przed sobą, moja droga pani Parker! Długi szereg! Toć lepiej jest, że wszystko złe jeszcze przed progiem się stało! Czy bardzo boli jak zmieniam okład? Czy jest dość zimny? Chwilkę tylko, moja droga, muszę trochę lód posolić, żeby tak prędko nie topniał. Czyż to nie jest wspaniałe ze strony Parkera? Jeszcze tego samego wieczora z porady Amerykanina zatelegrafował do Perth o lód! I wczoraj już tu była ogromna bryła, a dzisiaj przywiozą pociągiem drugą. Taka bryła lodu! kosztuje cały majątek! Ale ja już widzę, dla Parkera nic nie jest za drogo, kiedy chodzi o jego żonę. Ktoby to pomyślał o tym zamkniętym w sobie, cichym człowieku! Jest pani dzieckiem szczęścia, pani Parker! Ludzie, którzy mało mówią, najwięcej są warci, są najlepsi. Już ja to pani mówię. Ci, którym usta się nie zamykają, nie wiele są warci. Ani we Włoszech, ani tutaj! Im więcej mówią, tem bardziej trzeba się z nimi mieć na baczności. Tak, moja droga, teraz podłożę poduszkę. I ślicznie przykryję chustką. Czy mam teraz przygotować kawę? dobrze to pani zrobi, moja droga. I trochę tych rogalików, które przyniosłam, czyż nie ładnie się zarumieniły? Matka moja nauczyła mnie, jak trzeba piec rogaliki, żeby były takie rumiane i złociste.

Mirjam O'Donogan nagle umilkła: spostrzegła, że pani Parker zasnęła.

— To jeszcze zmęczenie po długiej podróży! — rzekła do siebie. — To nie żarty: sześćdziesiąt dni na statku! sen zmorzy! — I zajęła się gotowaniem kawy.

W kącie na ziemi stała maszynka spirytusowa, przygotowała ją, wsypała kawę do młynka, wzięła go między kolana i poczęła mleć.

Była to młoda, zaledwie trzydziestoletnia kobieta o włoskim typie. Ojciec jej przybył do Australji przed laty wraz z wielu innymi Włochami, aby pracować w kopalniach. Z początku był na wschodzie w kopalniach srebra w Broken-Still, potem powędrował do Australji Zachodniej, gdy rozpoczęła się tu wielka gorączka złota. Nie był tak przedsiębiorczy, jak wielu innych, i przez całe życie pozostał robotnikiem w kopalniach. Pracował ciężko, zawsze dla innych, ale zarabiał dosyć, by regularnie móc posyłać pieniądze swej rodzinie, mieszkającej we Włoszech. Później sprowadził swoją córkę Marję, której zawczasu znalazł męża w osobie Irlandczyka O'Donogana.

Pani O'Donogan w krótkim czasie potrafiła swego Irlandczyka wziąć pod pantofel, co tem było dziwniejsze, że wówczas nie rozumiała jeszcze po angielsku, ani on po włosku. Jedyną rzeczą, którą O'Donogan potrafił przeprowadzić, było to, że pozwoliła się nazywać Mirjam. Dlaczego Irlandczyk na to imię nalegał pozostało na zawsze tajemnicą.

Gdy w trzy godziny później wrócił Parker, Mirjam właśnie po raz drugi przygotowała kawę. Postawiła trzy filiżanki przy łóżku pani Parker.

Usiadł przy niem również i Parker, po wniesieniu do pokoju olbrzymiej bryły lodu i ucałowaniu swej żony.

Uśmiechnęła się, myśląc, że jednak gry nie przegrała.

Pierwsze dni wspólnego życia

Dom Steve Parkera, była to chatka z cynkowej blachy. Całe Coolgardie było z blachy. Wszystkie domy, a także i większe budynki były z tego samego materjału. Były łatwe do zbudowania i łatwe do przeniesienia.

Dom Parkera był podzielony na dwie części. Mniejsza część służyła za skład i spiżarnię, większa za mieszkanie. Stało tam łóżko żelazne, dwa krzesła i mały stół. Do ściany przytwierdzone były małe haki, wisiały na nich ubrania, strzelba i para butów. W jednym kącie stał piecyk żelazny. Ukląkł przy nim Steve Parker i rozniecił ogień.

— Będzie wściekle zimno tej nocy, Ewelino, — rzekł, — wściekle zimno! I lodowaty wiatr przytem! Nie masz pojęcia, jak tu jest, kiedy dmie zimny wiatr. Cały dom staje się lodownią. Blacha tak w siebie wchłania chłód, że człowiek tylko dygoce! Trzeba napalić w piecu.

I już trzaskał ogień. Właśnie się ściemniło. Przez źle przymknięte drzwiczki błyskał ogień, rzucając dziwaczne cienie na blaszaną ścianę. Piec się rozżarzył. Ewelina Parker leżała na swem łóżku, patrząc to na męża, to na ruszający się cień jego na ścianie. Parker zamknął żelazne okiennice, przyniósł kawał słoniny ze spiżarni i pokrajał ją w kawałki, poczem usmażył na patelni. Przyniósł następnie chleba i sera. To była kolacja. Wypił przytem whisky i podał swój kieliszek żonie. Z trudnością przełknęła jeden łyk. Widział, że jej to nie smakowało, ale że zrobiła to tylko dla niego. Nie mówiąc ani słowa, wyszedł z domu i wrócił natychmiast, niosąc butelkę piwa.

Wzruszona do łez, przyciągnęła go do siebie i oparła głowę na jego ramieniu. Milcząc siedzieli tak przytuleni do siebie. Słyszała bicie jego serca pod bluzą i grubą koszulą. On czuł jej ramię: takie czyste, białe i świeże. (C. d. n.)

Teffi

Pogromca serc niewieścich

Pociąg miał ruszyć za osiem minut. Pan Guśliński zajął miejsce w maleńkim przedziale drugiej klasy, przejrzał się w lusterku i spojrzał na peron.

Pan Guśliński, jeśli chodzi o fach, był komiwojażerem; jeżeli o powołanie — donżuanem czystej wody. Rozwoził po świecie szkła optyczne, lecz w gruncie rzeczy dbał przedewszystkiem o to, aby skruszyć jaknajwięcej serc niewieścich. Dla świętej pracy tej nie szczędził ani czasu ani mozołu, ba! często bez żadnej korzyści.

Jeżeli bawił w jakiem mieście tylko przez kilka godzin, od pociągu do pociągu, to doprowadzał kobiety do szaleństwa, nie schodząc nawet z dorożki. Przymruży oczko, podkręci wąsika, zagryzie wargę i spojrzy...

Ale jak spojrzy! Na takie spojrzenia niema słów. Tyle tylko powiem, że, ofiarowując kupcom próbki swych szkieł, patrzał całkiem inaczej. Kobiety, którym p. Guśliński rzucał to spojrzenie, wpadały w stan niezwykły. Spoczątku spoglądały nań ze zdumieniem, prawie z lękiem, potem, zasłaniając usta dłonią, wybuchały śmiechem.

Pan Guśliński zaś nie zaszczycał nawet swej ofiary drugiem spojrzeniem. Wlot bowiem wynajdywał sobie nową i doprowadzał ją do szału.

— No, — myślał sobie, — ta mnie już nie zapomni! Ani ta druga. Jam sobie najspokojniej przejechał w dorożce, a one najspokojniej szaleją.

Zwierzyna, jak wiadomo, sama biegnie ku myśliwemu, chociaż przez instynkt wrodzony powinna raczej uciekać.

Ledwo wyjrzał pan Guśliński przez okno, a już ukazała się na peronie młoda i bardzo przystojna pani, lecz przeszła tak szybko, że nie zauważyła rozkosznego spojrzenia i nie zdążyła oszaleć.

Pan Guśliński wysunął głowę:

— He, he! Śpieszy się najspokojniej do pociągu. Pojedziemy razem. Ano cóż — dobrze.

Los owej damy był przesądzony. Gdy pociąg ruszył, pan Guśliński obejrzał w lusterku swój profil, podkręcił wąsika i zaczął przechadzać się po wagonach.

Przystojna pani jechała także drugą klasą z tłuściutkim dwunastoletnim uczniakiem. Na Guślińskiego nie zwróciła najmniejszej uwagi, nie bacząc na to, iż nasz donżuan ukłonił się szarmancko i powiedział z iście paryskim szykiem:

— Pardon!

Na każdej stacji wychodził p. Guśliński na peron i stawał profilem nawprost jej okna. Lecz dama nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Tylko tłusty sztubak przyglądał się Guślińskiemu i pożerał jabłka. Rozmarzone spojrzenia donżuana gasły na pucułowatych policzkach ucznia.

Pan Guśliński zamyślił się.

— Trzeba tu będzie zastosować subtelną psychologję. Inaczej nic nie zrobię. Co do mnie to nie lubię w kobiecie macierzyństwa. Jest to cecha zwierzęca. Jeżeli jednak ta kobieta kocha swe dziecko aż do tego stopnia, że przez cały czas karmi je jabłkami (bodajby pękł ten smyk) to fakt ten daje mi klucz do jej serca. Trzeba zyskać sobie sympatję dziecka — i matka będzie schwytana.

Pan Guśliński zaczął działać.

Kupił w bufecie kilka jabłek i podał przez okno uczniowi.

— Kawaler lubi owoce, prawda? Zauważyłem to he-he-h-e! Proszę, niech kawaler je! Bardzo mi przyjemnie, że mogę się przysłużyć młodemu podróżnikowi....

— Dziękuję — bąknął malec ponuro, wytarł jabłko o ubranie i odgryzł połowę.

Pociąg ruszył. Guśliński ledwo zdążył wskoczyć do wagonu.



— Działam jak osioł. Co z tego że dałem chłopcu jabłko? Ja sam powinienem tam być, nie zaś jabłko. Najspokojniej usiądę w ich przedziale.

Zabrał rzeczy i na pierwszej stacji przeniósł się.

— Pardon! — rzekł, kłaniając się damie. — Strasznie ciasno w moim przedziale. Niech sobie pani wyobrazi: poszedłem do bufetu coś przekąsić, a miejsce moje jest najspokojniej zajęte. Czy pani pozwoli? Usiądę tu... przy tym miłym młodzieńcu, he-he...

Dama wzruszyła ramionami.

— Proszę.

Wyjęła książkę i zaczęła czytać.

— No, kawalerze, będziemy napewno przyjaciółmi, co? Daleko kawaler jedzie?

— Do Piotrkowa—mruknął sztubak.

— Boże! Co za niezwykły zbieg okoliczności! Ja także jadę najspokojniej do Piotrkowa, spędzimy więc całą noc razem i cały dzień. Coś podobnego!

Ten niezwykły zbieg „okoliczności" przyjął uczeń dość obojętnie i zachował posępne milczenie.

— Czy kawaler lubi przygody? Ja — ubóstwiam. Zawsze miewam jakieś niemiłe przygody. Czy mogę opowiedzieć?

Uczeń milczał. Dama czytała. Guśliński zamyślił się.

— I po co go ona na świat wydała? Przeszkadza to tylko. Widzę, że ją najspokojniej krępuje obecność chłopca. Ale róbmy swoje. Serce matki zdobywa się za pośrednictwem serca dziecka.

— Miałem więc taki wypadek. W Łodzi zakochała się we mnie pewna niewiasta i najspokojniej zwarjowała z miłości. Mąż wpada z rewolwerem i najspokojniej krzyczy, że mnie z zazdrości zabije. Jak się kawalerowi podoba taka sytuacja? Co? Zaznaczam, że byłem tak dobrze jak zaręczony z pewną panną z wyższej arystokracji. Miała nawet własny magazyn. Lecz ja, jako rycerz, nie mogłem się kompromitować, podbiegłem do okna i w przerażeniu rzucam się najspokojniej z pierwszego piętra na bruk. A ten morderca patrzy na mnie zgóry. Sytuacja! Co? Leżę na chodniku, a w oknie najspokojniej stoi zabójca. Jestem bez wyjścia. Uciekam więc i wołam policjanta.

Dama spojrzała na Guślińskiego.

— Poco pan chłopcu takie bzdurstwa opowiada.

I znów wróciła do swej lektury.

— Aha. Zaczyna się. Już przemówiła.

— Jeść! — zawołał uczeń. — Czy prędko stacja?

— Jeść? Cudownie, kochany kawalerze! Zaraz będzie mała stacyjka, przyniosę kawalerowi kanapki. Świetnie! Kawaler kocha mamusię, prawda? Mamusię trzeba kochać!

Sztubak zjadł osiem kanapek ponuro milcząc. Na następnej stacji Guśliński latał po lemonjadę, a podczas dłuższego postoju zaprowadził malca na kolację i przez dłuższy czas perswadował mu, że mamusię trzeba kochać.

— Mamusia kawalera — to coś niezwykłego! Gdyby tylko chciała, to mogłaby każdego skokietować!

Zdumiony chłopiec wybałuszył baranie oczy i jadł za czterech.

— Trzeba się śpieszyć, kawalerze. bo mamusia będzie niespokojna.

Po powrocie do wagonu okazało się, że mamusia już śpi.

— Ehe! Ale mniejsza z tem. Jutro mam cały dzień przed sobą. Oddała syna w dobre ręce (a żeby ten smarkacz pękł!), sama zaś najspokojniej śpi. Jutro za to odwdzięczy mi się. Ten tłuścioch zeżarł już za dobre dziesięć złotych. — Kawalerze, proszę, niech się kawaler położy. Proszę, nogi można na mnie. Nie szkodzi. Wyczyszczę potem spodnie benzyną. O—tak. Brawo!

Chłopiec spał, jak zabity, lecz od czasu do czasu kopał pana Guślińskiego w żebra. Ten jednak znosił wszystko i usnął dopiero nad ranem.

A kiedy się obudził, zauważył, że pociąg stoi, mamusia zaś znikła. Pan Guśliński zaniepokoił się i wyjrzał przez okno. A to co? Mamusia stoi na peronie, koło niej waliza... Co?... Pociąg rusza?

— Proszę pani! Co pani robi? Pociąg rusza przecież! Pani się najspokojniej spóźni!

Konduktor dał sygnał, bufory stuknęły.

— Przecież już jedziemy!—wył Guśliński, nie pamiętając tym razem o strojeniu czarujących min.

A pociąg zwiększył szybkość. Pan Guśliński przypomniał sobie o malcu.

— Zapomniała pani o synku! Syn! Syn! — krzyczał Guśliński przez okno.

Dama machnęła jeno ręką i odwróciła się.

Guśliński chwycił chłopca za rękę.

— Mamusia wysiadła! Mamusia poszła sobie! Co to ma znaczyć? — krzyczał.

Chłopiec w bek.

— Czego mnie pan trzęsie? Jaka mamusia? Moja mamusia jest w Piotrko-o-wie!...

Pan Guśliński siadł z przerażenia.

— Jakto... a ta pani?... Przecież mówiliśmy na nią mamusia... albo ja najspokojniej zwarjowałem. Co?

— Hy-hy-hy-hy! — beczał malec. — Ja nie mówiłem, że to mamusia. — To pan mówił! Myślałem, że to pana mamusia! Ja nie jestem winien! Może pan sobie zabrać swoje jabłka... Me-e-...

Pan Guśliński wstał, wytarł czoło i złapał swą walizę.

— Ohydny żarłoku! Będzie z ciebie oszust i kanalja, kiedy podrośniesz! Najspokojniej. Świ...

Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Życie Wielkiej Polki

Marja Curie-Skłodowska i jej dzieło

(Dokończenie).

Odkrycia radu dokonała sama. Oto badając pewne pierwiastki chemiczne zauważyła, iż niektóre z nich mają własności wydzielania promieni niewidzialnych, odznaczających się takiemi samemi właściwościami jak światło, to jest naprzykład działających na kliszę fotograficzną tak, jak światło.

W prostych słowach biuletynu naukowego doniosła o swem odkryciu Marja światu.

Nie szczyciła się tem, cieszyła się jedynie, iż ciężka praca dała wyniki. Na propozycję udzielenia jej i jej mężowi orderu odpowiedzieli: „Nie trzeba orderu, natomiast potrzebne jest nam koniecznie laboratorjum".

Małżonkowie Curie pracowali razem. Nie była to współpraca, polegająca na tem, iż żona pomocna była mężowi przy jego doświadczeniach i odkryciach — o nie! — była to współpraca dwojga ludzi, pracujących całkowicie samodzielnie, myślących oryginalnie, a wspierających się jedynie wzajemnie, uzyskanemi w równej pracy doświadczeniami.

Związek ich „wydaje się niemal wytworem legendy — tak doskonały przedstawia typ tego, co jest marzeniem o związku mężczyzny i kobiety, którzy są istotnie zdolni zjednoczyć wszystkie swoje zainteresowania i wszystkie wysiłki".

Drugiem olbrzymiem zwycięstwem Curie'ch było odkrycie działania radu na ciało ludzkie, oraz jego medyczne znaczenie szczególnie w leczeniu raka oraz schorzeń przeróżnych skóry.

I odtąd datuje się cały łańcuch faktów, świadczących o olbrzymiej wartości charakterów małżonków Curie.

Piotr Curie poddaje swe ramię działaniu radu przez parę godzin, by potem podlec kuracji trwającej przeszło pół roku, bo jątrząca się rana nie chce się goić; rad staje się lekiem cudownym, choć groźnym. Piotr Curie w jednem z przemówień po nagrodzeniu obojga małżonków nagrodą Nobla mówi:

„Można przypuścić, iż w rękach zbrodniczych rad mógłby się stać bardzo niebezpieczny. Nasuwa się więc pytanie, czy poznawanie tajników natury jest pożyteczne dla ludzkości?...

Należę do tych, którzy wraz z Noblem myślą, że ludzkość wyciągnie więcej dobra, niż szkody z nowych wynalazków".

Hołdując takim zasadom, małżonkowie Curie nie opatentowali swego wynalazku. Marja Curie klepiąc biedę, bo wszystkie pieniądze wydawała na pracę naukową, wskazywała każdemu, kto chciał zająć się fabrykacją radu najłatwiejszą i najprostszą metodę jego wytwarzania.

Nie sądzonem jednak było pracować Piotrowi i Marji razem do końca życia, bo oto dnia 10 czerwca 1906 roku Piotr Curie, będący już wówczas profesorem fizyki wracając z posiedzenia naukowego do domu, dostał się pod koła wozu ciężarowego, który nielitośnie zmiażdżył mu głowę.

I pod tem nieszczęściem nie załamuje się „blada nieśmiała kobieta — zawsze w czarnej sukni i w bronzowych okularach — o najsmutniejszej twarzy" w myśl słów męża: „Cokolwiekby się stać miało — choćby przyszło pozostać, jak ciało bez duszy — trzebaby mimo wszystko pracować dalej!" — pracuje dalej.

Dnia 5 października 1906 roku zostaje Marja Curie-Skłodowska mianowana profesorem w zastępstwie swego męża. Pierwszy to był wypadek we Francji mianowania kobiety profesorem.

Po śmierci męża pracuje nadal. Wykonuje pierwszy na świecie wzorzec radu, zakłada zupełnie samodzielnie Instytut Radowy w Paryżu, któremu ofiarowuje cały gram radu, wartości kilkuset tysięcy franków, swój dar motywując słowami: „Rad nie powinien służyć dla wzbogacania ludzi. Rad — jest pierwiastkiem i należy do wszystkich".

Dzięki owemu Instytutowi, o którym powiedziała Marja: „Mam prawo powiedzieć, iż Inst. Radowy ,który jest dla mnie jakby żywą istotą — całkowicie oddany służbie społecznej — wiernie służy ideałom wiedzy i międzynarodowego porozumienia w sferze, gdzie bodźcem działania jest miłość nauki i dobro ludzkości" — w 1913 roku powstaje w medycynie nowa gałąź lecznicza, zwana Curieterapją — t. j. leczenie radem.

Wybucha wojna. Przepiękne, czujące serce kobiety, nie pozwala Marji być obojętną na grozę wojny. Budując ruchome ambulanse według własnego pomysłu, wraz z 17-letnią córką Ireną jeździ Marja Curie wzdłuż całego frontu, niosąc pomoc tysiącom rannych, kształcąc zastępy oficerów-lekarzy w sztuce radjologicznej.

W 1923 roku przyznano wielkiej uczonej Nagrodę Narodową Francji, uchwałą Parlamentu—jednocześnie przyznano Jej 40 tysięcy franków renty dożywotniej z zastrzeżeniem, iż po śmierci dwie równe części tej renty przypadną w udziale dwom Jej córkom.

Powołanie Marji Skłodowskiej-Curie na członka Akademji Medycznej (jedynej tylko kobiecie świata) — oraz miłość i wdzięczność tysięcy, tysięcy uratowanych chorych przyświecały Jej dziełu do końca życia.

A na wszystkie słowa hołdu, uznania i czci Wielka Kobieta odpowiadała:

„W rzeczach, dotyczących Nauki, powinny nas interesować tylko fakty, nie zaś osoby".

Życiem całem zdobyła sobie Marja Skłodowska-Curie miano Najsławniejszej Kobiety, temi słowami zdobyła zaszczytny tytuł Najskromniejszej.

***

Niedawno starsza córka małżonków Curie, Irena Curie-Jolliot, została odznaczona nagrodą Nobla za pracę i odkrycia w dziedzinie fizyki. Irena Jolliot jest godną córką swych rodziców i spełniając ich marzenia naukowe, spełnia też ich marzenia społeczne, będąc członkiem francuskiej partji socjalistycznej.

Druga córka Ewa Curie jest znaną pianistką.

Dziecko i my

Samodzielność

Na wielkim okręcie amerykańskim jechały dwie rodziny: polska i amerykańska. I w jednej i w drugiej była mała dwuletnia dziewczynka. Pierwszego dnia podróży obydwa bąki bawiły się razem na pokładzie okrętu pod opieką swoich matek. Polska dziewczynka często przewracała się i zaczynała płakać. Wtedy matka podbiegała do niej, stawiała ją na nóżki i całowała. W pewnej chwili mała Amerykaneczka przewróciła się także, krzyknęła i leżała na pokładzie przez dłuższą chwilę. Matka jej nawet nie ruszyła się z krzesła. Oburzona matka - Polka zerwała się, żeby poratować maleństwo.

„Niech jej pani nie rusza"—powiedziała matka. — Ona sobie sama da radę". I rzeczywiście, dziewczynka, widząc, że nikt do niej nie podchodzi, przestała krzyczeć, wstała sama z podłogi i najspokojniej w świecie zaczęła się dalej bawić. Poradziła sobie sama. Matka przyzwyczaiła ją do samodzielności.

W życiu spotykamy rozmaitych ludzi. Zewnętrznie (swoim wyglądem) i wewnętrznie (charakterem i duszą) różnią się oni pomiędzy sobą. Niema ludzi jednakowych, są tylko podobni, ale tak naprawdę to podobieństwo jest tylko pozorne, bo każdy człowiek jest zupełnie inny. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę energję życiową każdego z naszych znajomych, to napewno będziemy mogli podzielić ich (jak i wszystkich ludzi) na trzy następujące grupy:

1) niedołęgi, które ciągle potrzebują czyichś wskazówek i pomocy,
2) ludzie samodzielni, dający sobie zawsze doskonale radę i nie oglądający się na innych,
3) ludzie o właściwościach (cechach) pośrednich, którzy trochę sami kierują swojemi sprawami, a trochę korzystają z pomocy innych.

Do jednej z tych grup należymy my sami, a wśród naszych znajomych znajdziemy napewno ludzi o różnym stopniu energji i samodzielności.

Wiemy wszyscy, że niedorajdom jest źle na świecie. Często spotyka ich krzywda, a nieraz i sami—przez swoje wieczne niezdecydowanie — narażają się na przykrości i straty. Naogół nie są oni lubiani przez swoje otoczenie, a w pracy zawsze zajmują najgorsze miejsce. Rodzina, w której matka lub ojciec jest taką życiową niezdarą, staje się nieszczęśliwa. Rodzicom wszystko się nie wiedzie, a dzieci są najczęściej zaniedbane i bez należytej opieki i wychowania.

Widzimy więc, że jednostki niesamodzielne nietylko same cierpią spowodu swego życiowego niedołęstwa, ale i innych jeszcze narażają na niepowodzenia, a czasem i na nędzę. Są więc one społecznie szkodliwe i ani rodzina, ani zorganizowana społeczność ludzka nie mają z nich żadnego pożytku.

Najbardziej wartościowymi ludźmi są ludzie samodzielni, energiczni i zawsze zdecydowani i wiedzący jasno, czego chcą i do czego dążą. Tacy ludzie i sami nie zginą z innym dopomogą, a społeczeństwo całe korzysta z tej ich energji i samodzielności. Człowiekiem odważnym, dzielnym, uświadomionym i mądrym nie może być jakaś ciamajda, będzie nim tylko jednostka samodzielna.

Dlatego też i w interesie samej jednostki i w interesie jej przyszłej rodziny, i w interesie całego społeczeństwa, i w interesie przyszłych zdobyczy grup społecznych i ogólnej sprawiedliwości leży wychowywanie młodzieży samodzielnej, ludzi zdecydowanych i o mocnych charakterach.

Każde dziecko można wychować na niedołęgę i na energicznego, samodzielnego człowieka. Do samodzielności można dziecko przyzwyczaić, można je nauczyć umiejętności radzenia sobie samemu w każdem wydarzeniu. Małemu dziecku nie należy spieszyć zawsze z pomocą i poradą, niechaj ono samo sobie radzi.

Nie zostawiajmy dzieci bez opieki i samym sobie, ale dozorujmy je z daleka i przyzwyczajajmy do samodzielności. Niech zwracają się do nas po radę i po pomoc tylko wtedy, gdy naprawdę nie mogą sobie same dać z czemś rady, ale niech nie zanudzają każdego byle głupstwem. **Wychowujmy ludzi samodzielnych!**

J. M. P.

NA SZEROKIM ŚWIECIE

PARALAMENT HOLENDERSKI z większością klerykalno - mieszczańską uchwalił ustawę,—mimo protestu socjalistów — o zwolnieniu z pracy nauczycielek mężatek od 1 stycznia 1937 i to bez odszkodowania, a w Norwegji, jak o tem już pisaliśmy parlament o większości socjalistycznej daje kobietom pełne równouprawnienie we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

W BELGJI klerykali wysunęli sprawę przyznania praw wyborczych dla kobiet jako manewr polityczny. Kobiety w Belgji mają bierne prawo wyborcze t. zn. mogą być wybrane przez mężczyzn, ale nie mają prawa wybierania czyli głosowania. W nagrodę za bohaterską obronę podczas najazdu Niemców w wojnie światowej, kilka wybitnych kobiet zasiada w parlamencie.

Klerykali chcieliby zdobyć niepodzielną władzę w Belgji z pomocą głosów kobiecych, bo mają wielkie wpływy właśnie wśród nieuświadomionych kobiet.

W tej sprawie obradował kongres socjalistyczny. Przywódca tow. Vanderwelde proponował, żeby przyznano kobietom prawo wyborcze po upływie czterech lat. Większość delegatów na kongres nie poparła tego wniosku i sprawa równouprawnienia politycznego kobiet w Belgji uległa zwłoce, bo bez głosów socjalistów w parlamencie nie mają klerykali większości dla swojego projektu ustawy o prawie głosowania dla kobiet.

Błędne koło, z którego nie ma innego wyjścia dla socjalistów, jak usilna praca uświadamiająca wśród kobiet, wyrwanie ich z pod wpływów klerykalnych i głosowanie za równouprawnieniem.

PRUSKI faszystowski minister Goering pociesza kobiety głodujące. Każda ofiara wyda się nam łatwa, jeżeli będziemy mogli mnożyć granaty, samoloty, armaty, karabiny maszynowe i cały potrzebny sprzęt wojenny. Tak mówił m. Goering, „żebyśmy gotowi byli w „wielkim dniu", który nadejdzie".

Niema znaczenia, jeżeli nie mamy dostatecznych ilości jaj, masła, mięsa wieprzowego.

Główna rzecz, że posiadamy armaty".

Przywódcy faszyzmu niemieckiego nie głodują, mają miljonowe dochody roczne, wspaniałe pałace, auta do swojej dyspozycji.

Nędza mas, kobiet i dzieci to przecież nie jest ważne. Byle arsenały były pełne i wielki przemysł wojenny pracował.

W BRUKSELI (Belgja) obradował kongres kobiet socjalistek przy udziale 500 delegatek organizacji politycznych, zawodowych i spółdzielczych.

Obradowano nad ważnem zagadnieniem wykształcenia fachowego dla kobiet i przedłużenia wieku szkolnego do 16 lat, wychodząc ze słusznego założenia, że 14-letnie dziecko nie może jeszcze rozpocząć pracy zarobkowej.

NASZE LISTY

Troski młodej dziewczyny

Mam lat 25, pracuję w tkalni zarabiam do 15 zł. tygodniowo. W całej rodzinie, składającej się z 8 osób, ja jedna mam zarobek stały. Siostra szyje bieliznę po domach, po 2 albo 3 dni w tygodniu i to wszystko.

Z zazdrością patrzę na kobiety czyściutko ubrane, uczesane; młoda jestem i rzeczywiście jeszcze nigdy nie byłam porządnie ubrana. Zawsze kombinacja ze szmatek, bo albo mogę kupić trochę żywności dla matki i rodzeństwa, albo ubranie dla siebie.

Nie mogłabym patrzeć na głodne dzieci, na płaczącą matkę,—która widzi we mnie żywiciela rodziny. Czasem aż się wstydzę, — kiedy matka z uniżeniem do mnie się zwraca.

Widzę jej stroskane oczy, kiedy rozmawiam z młodym człowiekiem. Obawia się, żebym nie wyszła zamąż. A przecież każda matka chce widzieć córkę zamężną. Człowiekowi aż się w głowie zawraca, w takiej sytuacji.

Chciałabym trochę oderwać się od tych zmartwień, ale nie mogę. Jak cień idzie za mną ciągła troska, bo jakie wyjście.

Przeklinam takie życie, żeby młodzi ludzie musieli dźwigać zmartwienia za ciężkie na ich wiek i zdrowie.

Ojciec już starszy człowiek, ale u burżujów taki pan w wieku 54 lat, to jeszcze do tańca kawaler. Ojcu w fabryce ogień zniszczył oczy, tak, że słabo widzi i pracować nie może.

Matka haruje od świtu, żeby miała cztery pary rąk, jeszczeby miała robotę koło wszystkich. Czworo młodszych dzieci, chodzi do szkoły, ale o pracy dla nich także nie ma mowy.

Chłopiec ma iść do junaków, aż płakać się chce, kiedy o tem pomyślę.

Przecież ludzie nie mogą się tak męczyć, przecież takie życie nie ma żadnej wartości. Jedynie nadzieja, że potrafimy zburzyć mur, dzielący nas od lepszego życia, daje trochę sił. Piszę do Was towarzyszki, prostemi słowami, tak jak czuję. Rozumiem wiele rzeczy, bo czytam gazety nasze, bywam na zgromadzeniach. Ale chciałabym, żebyśmy nie czekali za długo.

Leok. M.

Niewola

Przeczytałam list pomocnicy domowej w Łodzi.

Takie „panie" wsadziłabym do więzienia o chlebie i wodzie, nauczyłyby się szanować pracę i honor służącej.

Ja mam dobre miejsce i nie mogę się skarżyć. Pan i pani to ludzie uczciwi, oboje pracują, do mnie mają zaufanie i złego słowa nie usłyszę.

Ale właściwie ja jestem gospodynią w domu, wychowawczynią dzieci. Na mojej głowie wszystko, cały dom i jego wygląd. Dobre to wszystko, bo się przywiązałam do dzieci. Pewnie nie wyjdę za mąż, więc kocham cudze dzieci.

Ale jestem przecież tylko służąca.

Pan pracuje cały dzień w magazynie, widuje go chwilkę podczas obiadu, czasem wieczorem. Pani wychodzi do szkoły raniutko, wraca na obiad i ciągle ma jakieś sesje, narady, tak że dziećmi w domu zająć się nie może.

Ona wychowuje cudze dzieci, a ja jej dzieci. Dziwne to wszystko razem i często o tem myślę. Jednak służba to niewola i to ciężka niewola, nawet jeżeli chlebodawcy uczciwi i honorowi ludzie.

Mam na książeczce trochę pieniędzy. Dawniej służąca składała na pogrzeb, ja składam, żeby kupić kawałek ziemi, bo lubię kwiaty i myślę o założeniu ogrodu.— Pewnie z tych pomysłów nic nie wyjdzie, bo czy to wiadomo, co będzie na świecie za rok albo za dwa. Ale służba to ciężka i przykra rzecz, to niewola, zwłaszcza dla mnie, co już wiele rzeczy rozumiem.

Tyle dla mnie pociechy, że żyję pod jednym dachem z ludźmi, którzy szanują we mnie tę pomoc, jaką im daję.

Trzeba w gazetach naszych ogłaszać nazwiska pań, jak ta z Łodzi, żeby dziewczęta miały ostrzeżenie.

Zrobić to może związek.

Zofja R.

Odpowiedzi Redakcji

Towarzysce ze Skierniewic. Przychodnia Świadomego Macierzyństwa im. Dr. Budzińskiej - Tylickiej udziela porad lekarskich. Kierowniczką jest Dr. Jeleniewska.

Zofja S. Częstochowa. Dzieci macie prawo zatrzymać. Alimenty sąd przyzna. Starajcie się załatwić sprawę ugodowo.

Tow. L. K. z Puc. Operacja taka nie jest groźna. Powiedzcie matce prawdę i sprawa załatwiona. Leczenie potrwa kilka tygodni.

Prenumerator. Najlepiej wszystkie pisma razem opłacić. Cała rodzina złoży 75 gr. To właściwie cena pudełka papierosów.

Zbiórka 1-szo majowa

W DNIU 1-go Maja odbędzie się w całej Polsce zbiórka na TUR.

Od 14-tu lat TUR. spełnia zaszczytną i wielką rolę szerzyciela oświaty i wyraźnej **SOCJALISTYCZNEJ IDEOLOGJI.**

T. U. R. stał się nieodzowną potrzebą kulturalną szerokich mas ludowych, robotniczych, pracowniczych, chłopskich. 190 oddziałów, to ogniska oświaty robotniczej na przestrzeni całej Polski, do najmniejszych miasteczek, osad, wsi. Wbrew trudnościom wzrasta działalność T. U. R.

Setki odczytów z udziałem 100 tysięcy słuchaczy, w setkach miast, to najlepsze świadectwo, jakie znaczenie ma ta działalność.

W dniu 1-go Maja klasa robotnicza musi spłacić dług zaciągnięty wobec T. U. R.

Kwestarki i kwestarze muszą mieć wypełnione po brzegi puszki.

To punkt honoru biorących udział w pochodach, żeby mieli znaczek T. U. R., żeby złożyli dar na **„OŚWIATĘ ROBOTNICZĄ".**

Towarzyszki od Waszej zapobiegliwości, gorliwości i wytrwałości w dużej mierze zależy powodzenie akcji.

Wierzymy, że spełnicie ten zaszczytny obowiązek.

W dniu 1-go Maja budujemy oświatę robotniczą. Kobiety w pierwszych szeregach.

Pamiętnik emigranta

INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO W WARSZAWIE rozpisał konkurs na „Pamiętnik Emigranta". Szczere wpowiedzenie się może być pożyteczne dla nawiązania ściślejszych stosunków wychodźtwa z krajem i kraju z wychodźtwem. Dlatego prosimy piszcie otwarcie, szczerze o wszystkiem co wam leży na sercu, bez obawy. Nie myślcie, że tu idzie o opis dla jakichś celów ubocznych, mogących przynieść wam szkodę, lub obłożyć jakiemiś ciężarami podatkowemi. — Bynajmniej! Instytut Gospodarstwa Społecznego pragnie opisy otrzymane od was opracować i potem wydrukować, ażeby społeczeństwo dowiedziało się, jakie jest istotne położenie tych, którzy z kraju wywędrowali, zmuszeni różnemi przyczynami do opuszczenia jego granic na czas krótszy lub nazawsze.

Prace wasze nadsyłajcie pod następującym adresem:

Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża 20, do dnia 1 września 1936 r.

Z prac nadesłanych uznane za najlepsze otrzymają nagrody pieniężne a mianowicie:

4 najlepsze prace otrzymają po 250 franków;

3 dobre 150 franków,

3 dobre, ale mnie zadowalające po 100 franków

W naszym domu

Bądźmy odważne

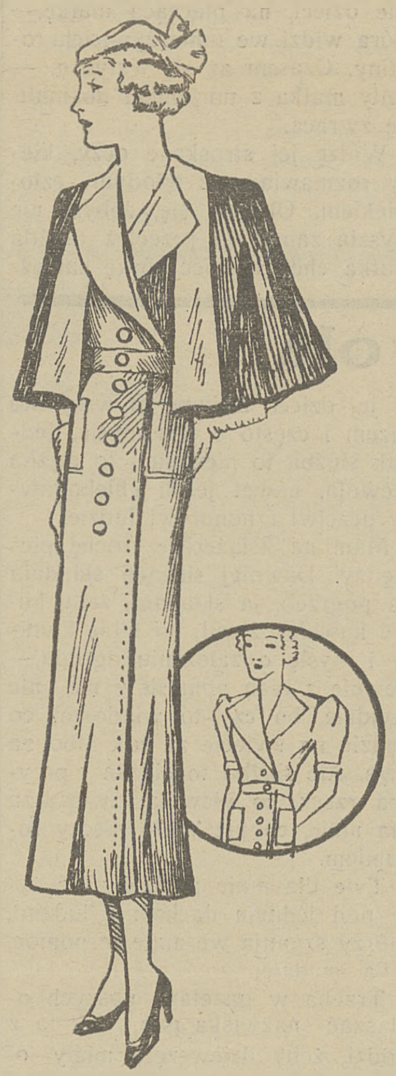
Przykładów „modnej" odwagi nie brak w przeszłości. Naprzykład tuż przed wojną zjawiła się moda t. zw. „spętanych" sukien. Suknia taka, normalna pod każdym innym względem, była tuż nad kostkami mocno zmarszczona, tak, że tworzyła się w tem miejscu wąska obręcz, krępująca ruchy i każąca deptać niewieście maleńkiemi niezdarnemi kroczkami. Takie „spętane" niewiasty stanowiły udrękę dla tramwajarzy: ani to wgramolić się do wozu nie potrafiło, ani przejść po ludzku przez jezdnię; klął konduktor, klął motorniczy, zmuszony do zatrzymywania tramwaju, by nie najechać drobiącej niczem perliczka, modnisi.

Dzisiaj chcę Was namówić na rzecz daleko niewinniejszą i nie zagrażającą, jak te obręczowe, bezsensowne suknie, nawet życiu. Chodzi poprostu o.... pelerynkę. Ładną, wygodną i bardzo poetycznie wyglądającą — przynajmniej z mego punktu widzenia.

Kostjumik, który podajemy, można zrobić z kolorowego płótna, najlepiej z t. zw. eponge (eponż). Naprzykład niebieskiego, a klapy sukni, wyłogi pelerynki i rękawów z białego. Składa się on z dwóch części: sportowej sukienki i nakładanej pelerynki. Jest prosty, elegancki i bardzo łatwy do wykonania.

Proszę zwrócić uwagę na bufy rękawów przy ich nasadzie. Ten staromodny szczegół teraz stanowi „młodziutkim" wyglądzie niewiasty, która go stosuje.

No, więc odważnie! Szyjemy sobie kostjum z pelerynką. Zresztą za kilka dni aż się roić będzie na ulicach od tych „odważnych" i na włożenie takiego kompletu nie trzeba już będzie odwagi. Pośpieszmy się więc, abyśmy zdążyły ubrać się ładnie, — modnie, tanio, zanim się ten model zrobi „oklepany".



„Wyciśnięta cytryna"

Powiedzieć na kogoś „wyciśnięta cytryna", to coś bardzo obraźliwego, uszczypliwego. Ma to oznaczać, że ten ktoś jest do niczego, zniszczony... Ale powiedzenia takie jest zupełnie niesłuszne. Bo nawet z wyciśniętej cytryny można mieć dużo pożytku.

Gdyśmy już zużyli sok z cytryny i zamierzamy nędzne jej resztki wyrzucić — zachowajmy je, bo świetnie przydadzą się do pielęgnowania rąk. Osoby, zajmujące się gotowaniem, mają b. zniszczone ręce przez zaczerwienienie, jakie powoduje sok jarzyn, kartofli, owoców. Skóra rąk, natarta wewnętrzną stroną skórki cytrynowej, bieleje i nabiera miękkości.

To jeszcze nie wszystko, co można jeszcze „wycisnąć" z wyciśniętej cytryny. Mianowicie, jeśli zalejemy skórkę cytrynową wrzącą wodą, a potem przestudzimy, otrzymamy złocisty, pachnący mile płyn — przed którym schować się mogą wszelkie kosmetyki. Mycie w tym płynie twarzy znakomicie oczyszcza i udelikatnia skórę.

Cytryna kosztuje w tej chwili coprawda aż 20 groszy, ale zważywszy na jej ogromną wartość odżywczą (o czem mówiliśmy w „przepisach") i dodatkowe korzyści, jakich przysparza jej skórka — powinniśmy chociaż co drugi dzień używać jej do przypraw — przecież za te 20 groszy „wysługuje się" ona z nadwyżką.

Z „życiem", miłe gospodynie!..

Co to znaczy? Jak to mamy gotować z życiem? I tak się człowiek zwija, mało sobie rąk nie urobi i nóg nie skręci.

Kiedy mi nie o to chodzi. Widzicie — można przyrządzić potrawy, nawet bardzo smaczne i zrobić je — raz-dwa-trzy, prędko — czyli „z „życiem", a będą martwe, bez życia.

Jeszcze nie rozumiecie? No więc będę mówiła poważnie, bez kawałów. Otóż uczeni, a właściwie uczony Polak Fuchs, przed dość niedawnym czasem odkrył, że pożywienie nasze niezależnie od różnych składników (jak białko, węglowodany i t. p.) zawiera jeszcze t. zw. witaminy, tajemnicze cząsteczki, które stanowią o jego „żywotności". Witaminy — spożywane w dostatecznej ilości sprawiają, że organizm nasz funkcjonuje normalnie, że otrzymuje z pożywienia jakgdyby pewną dawkę „życia". W surowych produktach naogół jest tych witamin więcej, są one żywotniejsze. Gotowanie natomiast często zabija witaminy, albo też przytępia ich żywotną zdolność. Witaminy są różne — ale w to nie będziemy się wdawali. Chciałabym na przykładzie wyjaśnić ich znaczenie. Np. łuskany ryż pozbawiony jest zupełnie witamin. Ludzie, żywieni wyłącznie takim ryżem, zapadają na szkorbut, który niknie, jeśli damy im jedzenie bogate w witaminy — np. surowe owoce (zwłaszcza cytryny), jarzyny i t. p.

Nasze jedzenie — zwłaszcza pod wiosnę, kiedy owoce są bardzo drogie, jarzyn młodych brak, cierpi na ubóstwo witamin, co bardzo źle odbija się na zdrowiu. Należy w miarę możności tej przednówkowej biedzie zaradzić. Mówiliśmy już, że gotowanie wyjaławia produkty z witamin. W miarę możności — nie zabijamy ich. A więc np. kiedy zaprawiamy potrawy masłem czy śmietaną, starajmy się, żeby to masło i śmietana były surowe, to znaczy nie zagotowane, nie smażone. Jeśli dla smaku musimy zrobić zasmażkę, to użyjmy na to tylko część tłuszczu, zresztą zaś wrzućmy do potrawy, w której się ropuszczą, nie tracąc swych cennych wartości witaminowych.

Ale przedewszystkiem starajmy się chociaż o kilka surowych potraw w ciągu tygodnia. Zwłaszcza dzieci powinny je często otrzymywać.

W warszawskiej szkole Rob. Tow. Przyj. Dzieci na Żoliborzu przepisy śniadań dla dzieci układa lekarz specjalista chorób dziecięcych, który odstrasza wszelkie krzywice, gruźlice i inne okropności takiemi daniami surowemi.

SURÓWKA Z MARCHWI.
(porcja na kilka osób):

30 dkg. marchwi, 20 dkg. jabłek, 20 dkg. śmietany, sól, cukru do smaku.

Marchew oczyścić dokładnie ostrą ryżową szczotką, oskrobać (nie obierać, bo witaminy „siedzą" najwięcej tuż pod skórką), zetrzeć na tarce. Jabłka opłukać, jak najcieniej obrać (jeszcze lepiej zostawić w skórce, żeby nie wyrzucać części witamin) i zetrzeć. Wymieszać marchew z jabłkami, pocukrzyć, posolić, dodać jaknajlepszą śmietanę. Dać dzieciakom (zresztą wszystkim domownikom) po pajdzie chleba — i przyzwyczajać do tego nowego zdrowego dania.

SURÓWKA Z SELERA I JABŁEK

20 dkg. selera, 20 dkg. jabłek, sól, ździebko soli, 3 dkg. oliwy. (Może być tania oliwa — sojowa, b. smaczna).

Selery oczyścić, oskrobać, zetrzeć. Jabłka umyć, zetrzeć, wymieszać, dodać jaknajlepszej śmietany. Jeśli mąż marudzi — dodać trochę musztardy.

PÓŁSURÓWKA Z BURAKÓW.

Półsurówka, gdyż buraki ugotujemy. (Młode buraczki świetne mogą być na surowo — ale z tem oczywiście musimy poczekać). Buraki obieramy po ugotowaniu, trzemy na tarce i dodajemy pełnowartościowy pod względem witaminowym produkt — mianowicie cytrynę, którą wciskamy do buraków. Dodajemy cukru, soli. Świetna to jarzyna do mięsa, ale doskonała też do takiego pustego jedzenia, jak ziemniaki. A to znowu należy zrobić w ten sposób: do przyrządzonych, jak powyżej buraków, wkroić w kostkę, albo zetrzeć na tarce ugotowane uprzednio ziemniaki. Od czasu do czasu — jeśli potrawę tę dajemy, jako „samą w sobie" — zmienić smak, dodając śledzia, drobno krojonego, albo szproty (15 groszy ćwierć kg. — aż nadto na dużą salaterkę tej surówki).

Redakcja i administracja — Warszawa, Warecka 7, tel. 230-52. P. K. O. Nr. 6922. Za dział ogłoszeń redakcja nie przyjmuje odpowiedzialności.
Pod redakcją: Doroty Kłuszyńskiej. Redaktor odpowiedzialny: Apolonja Rybakowa. Wydawca: Centralny Wydział Kobiecy Pol. Partji Socjalistycz.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Odbito w drukarni „Robotnika", Warecka 7.